

PISMO DLA RODZIN CHRZEŚCIJAŃSKICH.
WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU OKOŁO 1-GO.

Rocznik III. (Półrocze I.) **Numer 3.**



Adres: Redakcya ŚWIATŁA w Krakowie, ul. Powiśle L. 12.

Treść numeru 3-go.

Rozszerzajcie „Światło“

i jednajcie nam nowych prenumeratorów jak najwięcej, bo gdy się w tym roku zbierze większa liczba Czytelników, to w takim razie podawać będziemy w każdym numerze „ŚWIATŁA“ piękne ryciny (obrazki).

Ważne dla wszystkich!

Prenumeratę „SWIATŁA“ prosimy przesyłać **nie** razem z prenumeratą **„Nowego Dzwonka“** — ale **osobno** pod adresem: **Redakcya „SWIATŁA“** w **Krakowie** — ul. Powiśle l. 12.

Kalendarz „ŚWIĘTA RODZINA“ na rok 1911

dajemy Szan. Czytelnikom *Światła* w cenie zniżonej, to jest za **50** halerzy razem z przesyłką.

Powyższą kwotę (50 halerzy) najlepiej przesyłać razem z prenumeratą *Światła*.

Każdy nowy prenumerator *Światła*, który nadeśle całoroczną prenumeratę (3 korony) otrzyma **darmo**, jako premię, książkę:

„Nasza Skarbnica“

(rocznik III-ci), w której się mieszczą różne **powiastki, opowiadania, rozprawki pouczające i rady gospodarcze.**

Rocznik III. Kraków 1-go marca 1911. (Półrocze I-sze) Nr. 3.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** kor, **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie ul. Powiśle 12.

Obyczaje całoroczne Czechów.

Czesi za czasów jeszcze pogańskich, tak samo jak wszyscy Słowianie, jako rolnicy, czcili przedewszystkiem słońce, uważając je za sprawcę wszelkiego urodzaju na ziemi. Między innymi obchodami, w zimie, kiedy noce najdłuższe w roku się kończą, a światło, to jest słońce zaczyna brać znowu górę nad nocą, składali oni słońcu ofiary, czcząc je pod postacią bożka Kolady.

W czasie tych uroczystości odbywali różnego rodzaju wróżby. Po zaprowadzeniu wiary chrześcijańskiej, święta Bożego Narodzenia, przypadające w grudniu, zmięszały się z obchodami na cześć Kolady: stąd powstały różne obyczaje i wróżby, które jako zabawa dotąd się przechowały.

Przed wieczerzą w Wigilię Bożego Narodzenia dziewczęta czeskie biegną do sadu i sypią wszelkie obrzynki i okruchy od jadła pod drzewa i na trawę, jakoby na to, aby drzewa obficie owocowały, a trawa wysoko rosła.

Na wieczerzę wigilijną podają u nich tak, jak u nas: zupę grzybową, kaszę jaglaną, ryby, placki z serem, mleko makowe. Potem jedzą jabłka, śliwki suszone, orzechy i strucle.

Dzieci po kolacyi dostają podarki, najczęściej w pieniądzach. Dziewczęta wróżą sobie o przyszłem zamążpójściu, rzucając za siebie trzewikiem: w którą stronę obróci się trzewik nosem, padając na ziemię, stąd powiadają, mąż przybędzie...

O północy wszyscy idą do kościoła na Pasterkę.

Pierwszy dzień świąt przepędzają Czesi w domu, nigdzie w gościnę nie wychodząc.

W dzień św. Szczepana chłopcy chodzą po domach, śpiewają kolędy, za co dostają orzechy, jabłka, a czasem i pieniądze.

Wogóle święta Bożego Narodzenia w Czechach obchodzą bardzo poważnie. Pierwszego ani drugiego dnia nie tańczą i nie grają, a dawniej nawet do Trzech Króli w gospodach grać nie było wolno.

Na Nowy Rok za to, rozweselają się wszyscy: składają sobie wtedy nawzajem życzenia wszelkich pomyślności; dawniej wyprawiali w dniu tym rozmaite figle, aby wszystkich do śmiechu pobudzić, — dziś tego zaprzestali.

W Trzech Króli po nieszporach nauczyciel z dwoma chłopakami obchodzi gospodarzy, a śpiewając kolędę:

«Trzech królowie idą do was —
«Szczęścia, zdrowia winszują wam!

pisze święconą kredą na drzwiach pierwsze litery, zaczynające imiona Trzech Króli: *G. M. B.* i rok odpowiedni. Za to zostaje wraz z chłopcami suto ugoszczony i obdarzony pieniądzmi.

Zapusty tak, jak u nas, są porą wesel i zabaw.

W zapusty zbierają się prządki, a odrabiając przędziwo, śpiewają pieśni, opowiadają sobie ciekawe historye, czytają książki i gazety. Po uprzędzeniu całego zapasu lnu, składają się i wyprawiają sobie zabawę, na której najpilniejsza z prządek jest wybrana za królowę i w jej to domu przygotowuje się składkowa wieczerza.

W ostatki chłopcy przebierają się cudacznie, chodząc po wsi i bawiąc się w gospodzie wesoło, a w ostatni wtorek tańcują nawet stare baby, podskakując wysoko, aby im konopie urosły.

Powoli zbliża się wiosna: przyroda się odmładza — radość wstępuje w serce rolnika, bo ma nadzieję dobrego plonu. Na Palmową niedzielę święcą palmy; młodzież bije się wierzbowemi prątkami i połyka rozwinięte pączki wierzby.

W Wielki czwartek, piątek i sobotę zachowują post ścisły, za to w sobotę po Resurekcyi, kto ma na święta upieczonego baranka, zabiera się do mięsa. W Czechach niema zwyczaju przyrządzać święconego. Gospodynie tylko dziś na jutro robią zapas mięsiwa, z którego gotują obiad w Wielką Niedzielę. Pieką też ciasta, jak zwykle przed każdemi świętami. Pierwszy dzień świąt przepędzają w domu tak samo, jak w Boże Narodzenie. Młodzież obdarza się wzajemnie pisankami, to jest malowanemi jajami. Jeżeli która dziewczyna ma na jakiego chłopca dobre oko, to haftuje dla niego ładną chustkę i daje mu ją, pełną pisanek. Dawniej oblewano się wodą — obecnie zwyczaj szmigusu, jako szkodliwy nieraz dla zdrowia i niszczący odzienie, został zarzucony.

Po szczęśliwie ukończonych żniwach, wieśniacy czescy wyprawiają dożynki, przodownica, jak u nas, bawi się tam na czele.

Na Zaduszki gospodynie pieką osobliwy gatunek bułek, zwanych «duszyczkami», które rozdają biednym, zebranym pod kościołem, z prośbą o modlitwę za duszę zmarłych krewnych. Na pamiątkę też nieboszczyków, kupują wielkie lichtarze, w które oprawiają równie duże świece i zawieszają na nie wieńce z odpowiednim na wstążce napisem. Świece te stawiają się w kościele na ziemi przed wielkim ołtarzem. Są to jednak rzeczy kosztowne, na które mało kogo stać.

Czesi są przeważnie katolikami. Przykazania Boże i kościelne zachowują ściśle, są wogóle uczciwi i moralni. Do rzadkości należy tam zdrada między małżonkami, a choć młodzież ma dużo swobody, bardzo uczciwie się prowadzi. — Poszanowanie cudzej własności wpojone mają już od dziecka, dowodem tego służyć mogą choćby drzewa, któremi wysadzone są drogi, a których opadłe owoce leżą spokojnie, póki ich właściciel nie zbierze.

W niedzielę po kościołach można spotkać pełno ludu, który w czasie Mszy św. przy towarzyszeniu organów śpiewa chórem. Ponieważ w szkołach uczą śpiewać, zatem śpiew w kościele nie jest fałszywy, bardzo mile wpada w ucho. Przed kazaniem ksiądz odmawia pacierz pospół z ludem, który mu głośno odpowiada. Śliczną jest taka modlitwa i prawdziwie wzruszającą.

Z wielką uroczystością bywają obchodzone w Czechach odpusty, osobliwie te, które wypadają w dzień poświęcenia kościoła parafialnego. Oprócz uroczystego nabożeństwa w kościele, cała wieś niezwykle się przedstawia. Na kilka dni wprzódy robią gospodynie przygotowania i pieką ciasto, biją drób, bo święto Patrona parafii jest świętem całej gromady. Trzeba tedy wspaniale wystąpić. Na dzień ten spodziewają się parafianie wielu gości i rzeczywiście na te poświęcenia przybywają nawet z bardzo odległych stron krewni i przyjaciele, których odpowiednio przyjąć trzeba, a nawet i obdarzyć. Gospodynie przygotowują zapas kołaczy z makiem, powidłami i serem, bo z poświęcenia wypada koniecznie posłać przez przybyłych pozostałych w domu członkom rodziny jakiś przysmak.

Wesoło też bywa na tym obchodzie. Z okolic zbierają się kompanie pobożnych, które z obrazami Świętych i chorągwiami dążą na odpust, a pomodliwszy się w kościele, odwiedzają krewnych i znajomych, albo też idą hulać do gospody.

Niema większej przyjemności dla młodzieży, jako też i dla starszych, jak odbyć pielgrzymkę na poświęcenie. Jeśli odpust jest gdzie daleko, to cała kompania udaje się tam koleją.

Najsławniejsze i najliczniejsze zarazem odpusty bywają 16-go maja na św. Jana Nepomucena, 29-go września na św. Wacława w Pradze. W miejscowej katedrze spoczywają ciała obu tych Swiętych, a przy sposobności zwiedzają też Czesi swą mateczkę Pragę, którą kochają nadewszystko.

Liczne też bywają pielgrzymki do Przybramu na świętą Górę, do Mlady Boleslawi, gdzie są cudowne obrazy Najświętszej Panny, jak u nas w Częstochowie. — Cudzoziemiec, przybyły do Czech, zdziwiłby się, nie spoty-

kając na ulicach księży, mógłby wnosić z tego, że tam księży bardzo mało. Tymczasem przeciwnie, w Czechach jest wielu księży, bo prócz świeckich są tam jeszcze zakonnicy. Tylko księża czescy na ulicy nie noszą sutanny, lecz ubierają się po świecku w zwyczajne surduty. W kościele tylko, przy spełnianiu obrządków lub odprawianiu nabożeństwa, przywdziewają długie czarne sutanny, a na wierzch kładą zwykłe alby, ornaty i inne ubiory kościelne.

Bogate i piękne są kościoły czeskie, osobliwie w większych miastach, gdzie je fundowali bogaci panowie lub królowie. Samo miasto Praga ma kościołów 40 i 20 kaplic, najpiękniejsze z nich są: katedralny św. Wita, zbudowany na zamku królewskim i bardzo bogato ozdobiony, a także kościół Tyński.

Wielu Czechów odznaczyło się życiem pobożnem lub nawet męczeństwem za wiarę i za to w poczet Swiętych zaliczonymi zostali, jak: św. Wacław, św. Wojciech i św. Zyta, patronka służących.

Prawdziwość ksiąg ewangielicznych i podanych w nich nauk.

Głównem źródłem, z którego czerpiemy dokładne wiadomości o życiu, działaniu i nauczycielskim zawodzie Chrystusa Pana — są cztery Ewangelie. Dają nam one najdokładniejszy obraz Boskiego Zbawiciela. Czy jednak możemy tym Ewangeliom zupełnie pewnie zawierzyć? Czy wiadomości, w nich zawarte, zasługują rzeczywiście na nasze pełne zaufanie? Otóż rozpatrzmy to sumiennie.

Dwie z owych czterech Ewangelii pochodzą od apostołów Mateusza i Jana, drugie zaś dwie zostały napisane przez św. Marka i Łukasza. Marek był uczniem Apostoła św. Piotra, św. Łukasz zaś był uczniem św. Pawła. Ludzie ci opisali życie i działalność Chrystusa Pana nie dla użytku pojedynczych chrześcijan, ale Ewangelie były przeznaczone do publicznego użytku gmin chrześcijańskich i były używane przy nabożeństwach. A więc w Ewangeliach mieszczą się

wiadomości, wnet po śmierci Chrystusa zebrane, bo w tym czasie, w którym wielu żyło jeszcze ludzi, osobiście pracujących z Apostołami, których opowiadań i kazań własnemi słuchali uszyma.

Pierwsi chrześcijanie byli głęboko przekonani o prawdziwości Ewangelii, co widzimy z tego, że najstarsi chrześcijańscy pisarze często wspominają o Ewangeliach i podają z nich całe ustępy. Tak n. p. Ireneusz, urodzony około roku 130, przytacza w swoich pismach niemniej jak czterysta miejsc z Ewangelii.

Za drugiego świadka może posłużyć św. Polikarp, uczeń Ewangelisty i Apostoła św. Jana, który sam mianował Polikarpa Biskupem w Smyrnie. Otóż przez więcej jak pięćdziesiąt lat jego biskupiej działalności odczytywano we wszystkie niedziele Ewangelie przy Mszy św.

Czyż więc można przypuścić, że ów Biskup byłby pozwolił odczytywać Ewangelie, gdyby nie był pewnym ich apostolskiego pochodzenia? Nie, bo on sam poniósł w roku 155 śmierć męczeńską za wiarę i prawdziwość Ewangelii św.

O jednem jeszcze cennem świadectwie należy tu wspomnieć.

Zbadano mianowicie, że chrześcijanie używali Ewangelii już w roku 180 w małej wiosce dalekiej Numidyi. Wynika to z dokumentów, odnoszących się do scylitańskich męczenników, które opowiadają o tem, jak prokonzul pytał w śledztwie chrześcijan: «Co za książki zamykacie w waszych szafach?» Speratus, jeden z męczenników, odpowiada: «Księgi Ewangelii i listy św. Pawła».

Czyż więc istnieje druga jakaś księga na świecie, któraby miała za sobą podobny dowód prawdziwości, jakim dla Ewangelii jest używanie jej przy nabożeństwach w najdawniejszych chrześcijańskich czasach? Starcy, którzy osobiście stykali się z Chrystusem Panem i Apostołami, mogli porównać zgodność czytanych Ewangelii z tem, co sami przeżyli; dzieci i młodzieńcy, którzy ze starcami brali udział w nabożeństwach, mogli podać ich świadectwa późniejszym pokoleniom. A w ten sposób ręczyło za prawdziwość Ewangelii niejedno tylko miasto lub gmina, ale cały ich szereg.

Ale również przeciwnicy chrześcijaństwa w onych czasach dostarczają nam liczych dowodów prawdziwości Ewangelii. Już wcześnie powstali różni nauczycieli błędu, którzy odłączyli się od Kościoła. Ci więc byliby z pewnością zaprzeczyli prawdziwości Ewangelii, gdyby to tylko mogli byli uczynić. A nie uczynili tego. I dlatego to św. Ireneusz mógł w II. wieku pisać: «Tak silnie są nasze Ewangelie ugruntowane, że nawet odszczepieńcy składają dla nich świadectwa». To samo można też powiedzieć o poganach. Ci zwalczali chrześcijanizm nietylko mieczem ze stali, ale też mieczem wiedzy. Do tych należy przedewszystkiem słynny w pierwszej połowie drugiego wieku filozof pogański Celzus, który w pismach swoich gwałtownie napadał na chrześcijanizm. Znał on Ewangelię bardzo dobrze, wyśmiewał jej nauki, ale prawdziwości Ewangelii nie zaprzeczał nigdy.

Dodajmy tu kilka jeszcze innych dowodów. Każdy znawca historyi wie, jak zawikłanemi były stosunki religijne, społeczne i polityczne za czasów Chrystusa Pana w Palestynie. Po zdobyciu Jerozolimy przez Rzymian w roku 70 wszystkie te stosunki wyjaśniły się. Otóż w Ewangeliach stosunki, panujące w Palestynie przed zdobyciem Jerozolimy, przedstawione są tak jasno i prawdziwie, jak to mogli uczynić tylko ci, którzy w owych czasach i w owych stosunkach żyli. W Ewangeliach spotykamy n. p. wzmianki o geograficznych stosunkach Palestyny, o monetach, o bardzo zawikłanej chronologii świeckich władców; wszystko to świadczy o tem, że Ewangelie zostały napisane rzeczywiście w owych czasach i przez ludzi wówczas żyjących. Późniejszy bowiem pisarz nie potrafiłby się tak dobrze wyznać w tych stosunkach i musiałby w ich opisywaniu niejeden błąd popełnić.

A teraz zapytamy się, co mówi o Ewangeliach nauka nietylko katolicka, ale protestancka, a nawet niechrześcijańska? Otóż wyrok wszelkiej nauki jest taki: Jest niezaprzeczoną prawdą, że Ewangelie zostały napisane rzeczywiście przez naocznych świadków. Inni, później żyjący ludzie, nie byliby nawet w stanie ich napisać.

Pomimo jednak tych niezliczonych dowodów prawdziwości Ewangelii ludzie często są jeszcze niezadowoleni. Oto

bowiem możemy powiedzieć: «Prawdą jest niezbitą, że Ewangelie napisali naoczni świadkowie, ale — czy ci Ewangeliści napisali rzeczywiście prawdę? Że Ewangeliści mogli znać prawdę — to pewna, ale czy także chcieli oni prawdę powiedzieć?» Na to pytanie musimy jeszcze odpowiedzieć, ponieważ w tak ważnych rzeczach pragniemy być wszechstronni i zupełnie pewni.

Otóż na dowód tego, że Ewangeliści mówili prawdę, wystarczyłoby przytoczyć, że ci ludzie odznaczali się czystym, niczem nieskalanym charakterem. Ale mamy na to inny ważniejszy dowód taki, wobec którego nie masz na świecie większego i potężniejszego. Pytamy się: czy Ewangeliści mieli z tego, co pisali, jakiś ziemski zysk lub korzyść? Nie, nawet śladu korzyści. Przeciwnie, Ewangeliści za to, co pisali, ponieśli wielkie i liczne ofiary, wielu z nich wycierpiało straszne cierpienia i katusze.

A już chyba najpotężniejszym dowodem umiłowania prawdy jest to, że Ewageliści ponieśli śmierć męczeńską w obronie tych nauk, które spisali w Ewangeliach. A uczynił to niejeden tylko z nich — ale wszyscy, a po nich wielu współczesnych im wiernych stwierdziło przez swoją śmierć męczeńską, że Ewangelie głoszą naukę prawdziwą. Otóż ten właśnie krwawy dowód jest najsilniejszym. Bo przecież tak Ewangeliści, jak inni męczennicy, mogli byli jednem jedynem słowem odwrócić od siebie wszystkie cierpienia i śmierć męczeńską, a jednak tak nie zrobili, lecz ponieśli śmierć w obronie tego, co głosili. Coś takiego może zdziałać tylko najgłębsze przekonanie o prawdzie.

Możemy dalej wykazać, że Ewangeliści nie byliby nawet mogli wyssać sobie z palca i zmyśleć tego, co opisali w Ewangeliach. Byli to przecież prostaczkowie, pochodzący ze stanu robotniczego, którzy nie posiadali najmniejszej nauki, i wyższego wykształcenia. Czyż więc jest możliwem, ażeby tacy ludzie mogli sobie zmyśleć tak wspaniałą naukę, jaka zawarta jest w Ewangeliach, naukę, które przeobraziła świat cały? To, czego nie zdołali wynaleść najwięksi greccy i rzymscy mędrcy świata przy pomocy swojego wysokiego wykształcenia i wielkiego rozumu — to mieliby wynaleść niewykształceni ludzie? W chrześcijań-

skiej nauce wiary i obyczajów mieści się taka niesłychana mądrość, że nic jej przewyższyć nie potrafi. Stwierdzają to nawet wrogowie Wiary św. Czyż więc taka mądrość miałaby być wynalazkiem Ewangelistów, ludzi prostych i niewykształconych?

Wszystko to przekonywa nas, że Ewangeliści, chociażby nawet chcieli byli kłamać i zmyślać, to poprostu nie byli w możności tego uczynić. Ewangelie są więc nadzwyczaj prawdziwem i godnem zaufania źródłem wiadomości o życiu, działalności i cierpieniach Chrystusa Pana, wiadomościom tym należy bez żadnej wątpliwości wierzyć, bo one są prawdziwe.

Pomimo tego są jednak ludzie, którzy Ewangelie uważają za nieprawdziwe i nie wierzą im. Jak się to dzieje? Otóż rzecz to bardzo prosta. Ludzie oddają się na nauce w podwójnym celu. Jedni starają się przez naukę dojść do prawdy i szukają niczego więcej, jak tylko prawdy. Ta nauka, chociaż nieraz spoczywa na niechrześcijańskim gruncie — uznaje bezwzględną prawdziwość Ewangelii.

Drudzy, ażeby zwalczyć naukę Chrystusa i zniszczyć chrześcijanizm. Liczba tych jest dziś wielka. Ci nadużywają nauki, bo głoszą jedynie przypuszczenia, oparte na dowodach, które przy bliższem zbadaniu przedstawiają się, jako puste słowa i krętactwa. W ten sposób okłamują tysiące ludzi «nauką», która właściwie na tę nazwę nie zasługuje, ponieważ celem jej nie jest badanie prawdy, lecz przeciwnie walka z chrześcijaństwem.

Ta więc nauka zadaje sobie wiele trudu i mozołu, ażeby osłabić prawdziwość Ewangelii i zachwiać wiarę w prawdy ewangeliczne. A dlaczego to robi? Ewangelie opowiadają o cudach. Cudów jednak nie chce uznawać za żadną cenę nauka, wroga chrześcijaństwu. Kto bowiem przyjmuje cuda, musi też z konieczności przyjąć Boga i musi wierzyć w Boga i Jezusa Chrystusa, jako Syna Bożego. Przedstawiciele jednak tej fałszywej nauki nie chcą uwierzyć w boskie pochodzenie Chrystusa Pana, bo gdyby uwierzyli — wtedy musieliby poddać się Jego przykazaniom i Jego nauce obyczajów.

Do tej wrogiej nam nauki można zastosować przysłowie o krowie, która wiele ryczy, a mało daje mleka;

dlatego nie może nas ona w błąd wprowadzić. Chętnie zaś idziemy za tą nauką, która wypisuje na swoim sztandarze słowa: «Prawda! Nic więcej — jak tylko prawda!» Ta nauka uznaje w zupełności, że Ewangelie są prawdziwe i że należy im wierzyć. Wszelkie zaś napaści na Ewangelię są daremne i bezsilne, bo Ewangelie opisują życie i czyny Chrystusa Pana zupełnie wiernie — czyli tak, jak żył i działał Zbawiciel świata.

OJCIEC MILON.

(Wspomnienie z wojny francusko-pruskiej 1870 roku)..

Jasne słońce rzuca na pola swoje ogniste promienie' Rozkoszne życie wydobywa się z pod tej ulewy ognia wszystko dokoła, jak okiem sięgnąć roztapia się w zieleni...

Folwarki normandzkie, rozsiane po płaszczyźnie, wyglądają z dala, jak małe borki wśród wybujałych buków. Z blizka zaś, otworzywszy drewnianą bramę, widzimy olbrzymi ogród: wszystkie stare jabłonie, kościste jak chłopi, całe są okryte kwieciem. Pnie czarne, pokręcone i garbate wznoszą ku niebu swe biało-różowe wierzchołki, błyszczące mieniącemi się barwami. Słodka ich woń łączy się z drażniącym odorem, który wydobywa się z otwartej obory i kurnika.

Południe... Rodzina obiaduje właśnie w cieniu gruszy, zasadzonej przed domostwem: ojciec, matka, czworo dzieci, dwie służące i trzech parobków. Nic nie mówią do siebie. Zjadłszy zupę, zabrali się do misy pełnej kartofli ze słoniną...

Od czasu do czasu służąca wstaje, idzie do piwnicy napełnić dzban jabłecznikiem.

Gospodarz, duży chłop czterdziestoletni, przypatruje się około domu rosnącej winnej latorośli, która jak wąż skręca się około okien, wzdłuż muru. Wreszcie odezwał się:

— Wino ojca kiełkuje wcześnie; może w tym roku będzie urodzaj.

Kobieta także się obejrzała, nie wyrzekłszy słowa.

Ta winna latorośl była zasadzona na miejscu, gdzie ojca rozstrzelono.

* * *

Było to w roku 1870. Prusacy zajęli cały kraj. Jenerał Faidherbe stał tu na czele swej armii.

Sztab pruski obrał sobie stanowisko na tym folwarku. Chłop, do którego folwark należał, ojciec Milon, przyjął ich, jak mógł nalepiej.

Od miesiąca awangarda niemiecka stała we wsi na posterunku. Francuzi mieli swoją pozycyę o dziesięć mil stąd i byli zupełnie nieczynni; a jednak co noc ubywało ułanów. Każdy odosobniony jeździec, albo nawet kilku kawalerzystów, jak tylko znalazło się na ustroni, nie powracało więcej: znajdowano ich nazajutrz nieżywych w polu lub w rowie. Ich konie leżały także rozciągnięte na drodze, zabite cięciem szabli.

Te zabójstwa zdawały się być spełniane przez jednych i tych samych ludzi, których jednak nie można było schwytać.

Przestrach ogarnął całą okolicę. Rozstrzeliwano chłopów za najmniejszą poszlakę, więziono kobiety; starano się groźbą wydobyć z dzieci jakąś wskazówkę — wszystko napróżno.

Otóż pewnego poranku spostrzeżono ojca Milona leżącego w stajni z twarzą okaleczoną. Dwóch ułanów tegoż samego rana znaleziono zabitych o trzy kilometry od folwarku. Jeden z nich trzymał jeszcze w ręku swoją szablę zakrwawioną. Widać, że się bił i bronił:

Rada wojenna została w tej chwili zwołana, tu przed tym folwarkiem. Przyprowadzono starego.

Ojciec Milon miał lat sześćdziesiąt ośm. Był mały, chuderlawy, trochę garbaty, z długiemi rękami, podobnemi do kleszczów raka morskiego.

Jego włosy płowe, rzadkie i lekkie, jak puszek młodego kaczęcia, nie okrywały czaszki. Skórę miał ciemną i pomarszczoną, dokoła szyi uwydatniały się grube żyły widoczne również przy szczękach. Uchodził w okolicy za skąpca.

Postawiono go między czterema żołnierzami przed stołem kuchennym, umyślnie tu przyniesionym. Pięciu oficerów z pułkownikiem usiadło wprost niego:

Pułkownik rzekł po francusku:

— Ojcze Milon. Od czasu, jak tu przybyliśmy, jesteśmy z ciebie zadowoleni. Byłeś dla nas zawsze uprzejmym, a nawet ugrzecznionym. Ale dziś straszne podejrzenie zaciążyło na tobie, trzeba go wyświetlić. Jakim sposobem otrzymałeś ranę, którą masz na twarzy?

Chłop nic nie odpowiedział.

Pułkownik mówił dalej:

— Twoje milczenie potępia cię, ojcze Milon, ale chcę, żebyś mi sam odpowiedział. Czy mnie rozumiesz? Czy wiesz, kto zabił dwóch ułanów znalezionych dziś niedaleko stąd?

Starzec odpowiedział krótko a dobitnie:

— Ja!...

Pułkownik zdziwiony zamilkł na chwilkę, nie spuszczając z niego oka. Ojciec Milon stał nieporuszony, z właściwą chłopom głupkowatą miną, z oczyma spuszczonemi, jak gdyby rozmawiał ze swoim proboszczem. Jedna tylko rzecz zdradzała jego niepokój: raz po raz połykał ślinę z widocznym wysiłkiem, jak gdyby gardło miał zaciśnięte.

Rodzina starca: jego syn Jan, synowa, dwoje wnucząt — wszyscy stali o kilka kroków w tyle, przerażeni okropnie.

Pułkownik rozpoczął przerwane na chwilę badanie:

— A czy wiesz, kto zabijał po kolei naszych ułanów, których znajdowano od miesiąca każdego rana w polu nieżywych?

Starzec odpowiedział z tą samą, lodowatą obojętnością:

— Ja!..

— Ty zabiłeś ich wszystkich?

— Ja!...

— Ty? Własną ręką?

— Ja!...

— Opowiedz nam, w jaki to sposób czyniłeś?

Tym razem ojciec Milon zdawał się trochę poruszonym. Potrzeba mówienia męczyła go widocznie, rzekł więc:

— Powiedziałem już. Zabiłem wszystkich!...

Pułkownik mówił dalej:

— Uprzedzam cię, że musisz wszystko wyznać. Najlepiej zrobisz, skoro zaraz to uczynisz.

Starzec rzucił niespokojne spojrzenie na rodzinę, stojącą tuż za nim, zawahał się jeszcze chwilę, wkońcu machnął ręką i począł:

— Pewnego wieczora, około dziesiątej godziny, nazajutrz po waszym tutaj przyjeździe, powracałem do domu. Ty i twoi żołnierze zabraliście mi więcej niż za 50 luidorów paszy, oprócz tego krowę i dwa barany. Powiedziałem sobie: dopóki brać będą mój dobytek, dopóty będę się im odwdzięczał.

Miałem jeszcze w sercu coś innego przeciwko wam! — Opowiem wszystko! — Otóż spostrzegam jednego ułana, palącego fajkę na moim wozie za stodołą. Zdejmuję z kołka moją kosę i skradam się po cichu, na palcach. Ułan nie słyszał. — Ściąłem mu głowę za jednym zamachem, jak kłos zboża. Nawet pary z ust nie puścił. Szukajcie głęboko w kałuży, znajdziecie go w worku od węgla. Czyniąc to miałem swój cel na względzie. Zabrałem wszystkie jego rzeczy, zacząwszy od butów, aż do czapki; schowałem je na strychu...

Starzec zamilkł. Oficerowie w osłupieniu spoglądali po sobie.

* * *

Ojciec Milon opowiadał dalej, jak spełniwszy pierwsze zabójstwo, myślał o dalszych. Nienawidził wrogów, nienawidził skrytą, zawziętą nienawiścią. Miał w tem swój cel, jak mówił. Przeczekał dni kilka. Pozwalano mu dowolnie wychodzić i wracać, robić co mu się spodoba: tak okazywał się pokornym, uległym i uprzejmym. Widywał każdego wieczoru wyjeżdżające oddziałki. Pewnej nocy, dosłyszawszy nazwisko wsi, dokąd się udać miał jeden ułan, wyszedł z domu. W ciągłych będąc stosunkach z żołnie-

rzami, nauczył się kilku wyrazów niemieckich, które mu były potrzebne do przeprowadzenia planu.

Wszedł na strych i tam się przebrał w ubranie zabitego ułana. Potem poczołgał się do lasu, kryjąc się w zarośla i przysłuchując najmniejszemu szelestowi. Był niespokojny, jak złodziej.

Skoro pora nadeszła, zbliżył się do drogi nie wychodząc z zarośli. Zaczekał chwilkę. Koło północy tentent kopyt końskich rozległ się po twardym gruncie. Przyłożył ucho do ziemi, aby się zapewnić, czy tylko jeden ułan się zbliża. Był gotów do walki.

Ułan jechał prędkim kłusem, wioząc depesze. Z okiem wytężonem i nadstawionem uchem czekał na niego. Skoro zbliżył się na dziesięć kroków, ojciec Milon przywlókł się do niego przez środek drogi, jęcząc: «Hilfe! Hilfe! Ratunku, ratunku!» Ułan zatrzymał się, wziął go za Niemca i przypuszczając, że jest raniony, zsiadł z konia, nic nie podejrzywając. Gdy się nachylił ku niemu, dostał w sam brzuch pchnięcie głębokie ostrą szablą. Padł bez życia.

Wtenczas Normandczyk, uniesiony niemą radością namiętnego chłopa, powstał i dla swej już przyjemności, poderznął gardło trupa, ściągnął do rowu i tam go wrzucił.

Koń czekał spokojnie na swego pana. Ojciec Milon wskoczył na siodło i pojechał galopem przez pole. W godzinę później spostrzegł znów dwóch ułanów, jadących konno obok siebie, wracali do obozu. Podjechał prosto do nich, krzycząc znów: «Hilfe! Hilfe!» Prusacy widząc mundur niemiecki, bez najmniejszej obawy pozwolili mu się przybliżyć; tymczasem stary jak kula armatnia wpadł między ich obu, zabijając jednego szablą, drugiego wystrzałem z rewolweru. Następnie pozabijał ich konie — konie niemieckie; poczem najspokojniej zaprowadził do szopy w lesie konia swego, dał mu snop siana i wody, sam zaś rozebrał się, mundur ukrył i przywdział znów odzienie chłopskie, wpierw tam już przygotowane. Powrócił następnie do swego łóżka i spał smacznie do rana.

Przez cztery dni z rzędu nie wychodził wcale, oczekując końca rozpoczętego śledztwa; ale piątego dnia znów ruszył w drogę; zabił jeszcze dwóch ułanów, dzięki temu

samemu podstępowi. Odtąd już go nic powstrzymać nie mogło. Co noc błąkał się, puszczał na los szczęścia, zabijając pruskich żołnierzy to tu, to tam, galopując przez puste pola, przy blasku księżyca. A skoro zadanie swoje skończył, zostawiając poza sobą trupy leżące wzdłuż drogi, stary kawalerzysta szedł chować konia i mundur do szopy.

W południe odwiedził najspokojniej swego wierzchowca, nosząc mu owies i wodę; żywił go obficie, bo wymagał nawzajem ciężkiej pracy.

Ale pewnego dnia jeden z napadniętych miał się na baczności i cięciem szabli rozpłatał twarz starego chłopa; ten jednak zabił ich obydwóch.

Pomimo to ukrył konia, włożył swoje nędzne ubranie; ale kiedy wracał zrobiło mu się słabo, zawlókł się więc do stajni, nie mogąc dojść do domu. Tam też go znaleziono zakrwawionego, rozciągniętego na słomie.

*
* *

Skoro skończył swoje opowiadanie, podniósł nagle głowę, spoglądając z dumą na oficerów pruskich.

Pułkownik kręcąc wąsa, zapytał:

— Nie masz już nic więcej do powiedzenia?

— Nic, nic więcej! Rachunek jest zrobiony sprawiedliwie: zabiłem szesnastu, ani jednego mniej, ani jednego więcej...

— Wiesz ty, że cię czeka śmierć?

— Nie będę prosił o ułaskawienie.

— A byłeś ty żołnierzem?

— Tak jest byłem w swoim czasie. Ale wyście zabili mi ojca, który był żołnierzem, a przytem zabiliście mi młodszego syna Franciszka w przeszłym miesiącu pod Evreux. Byłem więc dłużnym — i dług spłaciłem. Teraz między nami kwita.

Oficerowie spoglądali po sobie.

Starzec mówił dalej.

— Ja do was nie przyszedłem! Ja was nie znam, ani wiem, zkąd przychodzicie.

A prostując swój garb, skrzyżował ręce, wywierając wrażenie pokornego bohatera.

Prusacy rozmawiali długo pomiędzy sobą po cichu. Kapitan, który także stracił syna w przeszłym miesiącu, bronił starca. Wtenczas pułkownik wstał, zbliżył się do ojca Milona, a zniżając głos rzekł:

— Słuchaj starcze! jest może sposób uratowania ci życia?

Ale ojciec Milon nie słuchał go. Wzrok tylko wlepił w pułkownika. Wiatr poruszał małe kosmyki włosów na jego czaszce.

W jednej chwili ojciec Milon został porwany na ręce i przyparty do muru. Kiedy go miano rozstrzelać, uśmiechał się do Jana, starszego swego syna, do synowej i do dwojga dziewcząt, którzy patrzyli nań w niemym, niewypowiedzianym bólu...

W SZWAJCARYI.

Opowiadanie przez ks. St. M.

(Dokończenie).

A piją wino Szwajcarowie rozcieńczone wodą — znać troszczą się o to, ażeby w głowach i czubach wcale się nie dymiło.

Mieszkałem czas jakiś we wsi, która liczyła nie więcej nad pięćset dusz, miała ta wieś swą pocztę, miała swój sklepik, swą gospodę, nawet fabrykę serów. Codzień pod wieczór widywałem, jak z sąsiednich pojedynczych zagród przychodzili mężczyźni, chłopcy, kobiety, niosąc na plecach płaskie dzbany z mlekiem. W serowarni — niemiec jakiś odbierał mleko, notował i wnet spuszczał je do kotła przerabiać na sery.

Gdy wieczorem na «Anioł Pański» dzwon się odzywa w kościele, wszyscy się krótko pomodliwszy, siadają do wieczerzy, potem czytają gazety, radzą o sprawach swej ojczyzny, rozprawiają o potrzebach kościoła i plebanii, wesoło nieraz śpiewają, a zawsze się rozchodzą w zgodzie i wzajemnym szacunku.

Przypominam tu sobie zdarzenie, które mi na długo zostanie w pamięci.

Mianowicie pewnego dnia skwarnego w południe rozległ się jęk dzwonu z kościoła; w sąsiednich wsiach ozwały się też na trwogę tamtejsze dzwony (Szwajcarowie mają co parę wiosek parafię) i wnet z różnych kątków zaczęli się zjawiać ludzie pieszo i na kołowcach (rowerach) i pospieszać w kierunku sąsiedniego lasu, skąd się pokazał dym. We wsi schwytano prędce konie, wzięto beczki, sikawki i pompę do wyrzucania wody.

I wszystko to w okamgnieniu biegło w stronę pożaru, po drodze, (bo i ja pospieszyłem oglądać pożar szwajcarski) przyłączyły się z innych wsi i folwarków inne wozy ratunkowe.

A tak wszyscy w kilka minut byliśmy o jakieś trzy kilometry na miejscu pożaru, gdzie płonęło siano, które samo się zapaliło od przeparzenia w stercie.

Miły Boże, jak to ci ludzie czuli są na biedę bliźniego. Kto tylko słyszał dzwony, rzucał pracę i biegł ratować bliźniego.

Kiedy się dziwiłem takiej ich łączności i jednomyślności, oni w zamian się dziwili, że u nas niema po wsiach ani straży ogniowej, ani serca chętnego do pomocy bliźniemu.

III.

Szwajcarya jest samodzielnem państwem i powstała z 22 kantonów (po naszemu powiatów).

Wszystkie te kantony razem mają w mieście Bernie tak zwaną Radę związkową z prezydentem na czele, który to, jako głowa państwa wraz z posłami od różnych kantonów, rozstrzyga sprawy ogólne obchodzące całą Szwajcaryę. Takiemi są sprawy stosunku do innych państw, wojsko, drogi, podatki ogólne.

Każdy zaś kanton u siebie w domu jest zupełnie wolny w swej wewnętrznej gospodarce. Ma własne władze i własne prawa. Niektóre kantony naprzykład, mają karę śmierci, inne tego nie mają.

Cała Szwajcarya zajmuje czterdzieści tysięcy kwadratowych kilometrów. Na tej przestrzeni mieszka tam trzy miliony wolnych obywateli, mających równe prawa.

A chociaż do składu tej całości należą Niemcy, Francuzi, Włosi — wszyscy mówią własną mową — zgoda panuje u nich najlepsza, wszyscy kochają wspólną ojczyznę— i nikt tam nie robi krzywdy sąsiadowi za to, że ten ma własną mowę, własne swe obyczaje i własną religię.

Pod względem religijnym Szwajcarowie dzielą się na katolików, których jest tam jeden milion dwieście tysięcy — i na protestantów, których naliczają do jeden milion ośmset tysięcy.

Katolicy są tam nadzwyczaj gorliwi, przywiązani do Stolicy Apostolskiej; oni stale wysyłają do Rzymu dla Ojca św. straż honorową, która od tylu już wieków wiernie służy Głowie Kościoła.

W górach swoich mają liczne parafie i kościoły. Parafia licząca sześćset dusz jest już wielką, składa się z paru wiosek, najczęściej bywa tak nieraz, że jedno tylko miasteczko stanowi osobną parafię. Ci ludzie — nie magnaci, a przeciętni gospodarze wiejscy mogą i chcą utrzymywać kosztem własnym kościoły i proboszczów. A jak tam wszystko w kościele utrzymują wzorowo czysto: ołtarze, sprzęty, zakrystya! Dziwiłem się, patrząc na ich kościoły, skąd mają środki tak małe parafie na utrzymanie wzorowe nabożeństwa i probostwa. Gdy o to pytałem, mówili oni, że to jest ich obowiązkiem sumienia, że Bóg u nich zajmuje zawsze pierwsze miejsce, że dla Boga nie żałują wydatków, bo wiedzą, że im to Opatrzność odda sowicie.

Nietylko o kościół dbają Szwajcarowie. Oni troszczą się o wychowanie i wykształcenie swych dzieci. W tym celu wydali prawo, które zmusza pod karą rodziców, wszystkie dzieci posyłać do szkół: każda parafia i każda większa wieś ma swą szkołę. A w szkole dzieci muszą zostawać od lat siedmiu do czternastu. Codzień o godzinie siódmej rano zgromadzają się chłopcy i dziewczynki w kościele na Mszę św., a potem o ósmej muszą już zasiąść w ławkach szkolnych. Odpoczywają w ciągu roku tylko dziesięć tygodni, pozatem sześć lat bez przerwy uczą się czytać, pisać, rachunków i innych pożytecznych nauk.

Każdy, kto skończy taką początkową szkołę, może przejść potem do szkoły kantonalnej (u nas gimna-

zyum) i dalej. Kto zaś nie czuje powołania do dalszej nauki, wraca do domu na rolę, lub ima się pracy zawodowej w handlu, w przemyśle.

Na ogół Szwajcarowie patrzą na życie trzeźwo i wybierają te zawody, które nie honor, jeno dobrobyt dają. Kobiety po skończeniu szkoły pierwszej wracają do rodziny i tam bez pychy i wymagań wygórowanych pracują przy boku ojców, matek, a potem mężów i dzieci.

Szwajcarka nie wstydzi się żadnej pracy i gorszy się z przyjezdnych różnych wielkich panów i pań, co nie potrafią sobie usłużyć i poradzić w drodze. Chętnie im służą i śmieją się w duszy z tej niemądrej próżności, czy niedołęstwa.

Wojska stałego Szwajcarya nie ma. Ma tylko tak zwaną milicyę. Każdy młodzieniec, gdy skończy lat dwadzieścia, obowiązany według praw krajowych stanąć «do losów», to jest pójść do służby wojskowej, ażeby tam się wyuczyć musztry i sztuki strzelania.

Trwa to ośm tygodni; potem każdy taki żołnierz wraca do domu i liczy się do roku 45 w «zapasie». Na wypadek wojny każdy zapasowy musi opuścić dom swój i iść w góry bronić wspólnej Ojczyzny, swoich skał i przesmyków w przepaściach górskich.

Tak obmyślona obrona kraju nie wymaga wielkich wydatków i nie pociąga za sobą wygórowanych podatków. Te zaś opłaty, które Szwajcar wnosi do rządu, idą na szkoły, na szpitale, na budowę dróg, słowem na ich własny pożytek.

Słówko jeszcze o wolności szwajcarskiej, bo nieraz może słyszelibycie pochwały tego kraju, z ust różnych agitatorów.

Tak, wolność tam istotnie kwitnie, ale to należy rozumieć w sensie «równych praw dla wszystkich». Niechby jednak ktoś tam sobie pozwolił na takie dzikie wybryki, jakie się u nas praktykują po drogach, lasach i polach, gdzie się ciągle należy obawiać napadu, wnetby tam takiego amatora wolności zamknęli do kryminału. Tak. Jest tam wolność obywatelska, ale wolność rozumna bez krzywdy i krwi bliźniego.

Największy skarb.

Skarbem najdroższym człowieka, czego ani bogactwa, ani honory nie dadzą: być z siebie kontentym z przekonania najczystszego; wszystko przemija, a stałość w cnocie jest słodyczą w życiu i niezmazaną cechą umysłu mocnego, czego nikt nie odbierze; najmocniejsza obrona w przypadkach i żyć po śmierci naszej będzie.

Słowa Tadeusza Kościuszki.

Dziesięć przykazań zachowania zdrowia.

Angielski lekarz Jordy sporządził następującą receptę w celu zachowania zdrowia:

1) Powietrze czyste jest głównym warunkiem zdrowia i zapobiega głównym chorobom płuc.

2) Ruch — to życie, zalecają się codziennie ćwiczenia gimnastyczne, przechadzki i t. p.

3) Prostota i umiarkowanie w jedzeniu oraz w piciu, używanie wody, a nie spirytualii, oraz zdrowych i prostych potraw, stanowią ważny warunek zdrowia.

4) Utrzymanie ciała w czystości, kąpiele, umiarkowane hartowanie, również są niezbędnemi.

5) Odzież powinna ochraniać od zaziębień i od gorąca i jednocześnie być lekką, a nie obciążać ciała pojedyńczych organów.

6) Mieszkanie powinno być możliwie obszerne, suche i odpowiednio przewietrzane.

7) Czystość w mieszkaniu i wogóle w miejscowościach, otaczających człowieka, powinna być wzorowa.

8) Prawidłowa, gorliwa i pożyteczna praca stanowi również warunek zdrowia, próżniactwo bowiem powoduje wiele duchowych i fizycznych cierpień.

9) Potrzebnym jest spokojny wypoczynek w nocy, to jest należy wcześnie chodzić spać, w nie-

dzielę i święta przeważnie czytać i oddawać się rozrywkom rodzinnym.

10) Życie prawidłowe powinno być jednocześnie użyteczne społeczeństwu; zachowujący przepisy hygieny, więcej od innych może się stać dobrym członkiem rodziny, pracownikiem i obywatelem.

ARMATY W POLSCE.

Najpierwsze wiadomości o używaniu armat w Europie pochodzą z roku 1326 we Włoszech, w roku 1340 we Francyi, a w Niemczech dopiero z roku 1346. Ponieważ Polska wtenczas stała na wyżynie postępu i rozwoju, nie ulega wątpliwości, że i u nas w tym czasie armaty były znane i używane. Wspomina też o tem kronikarz polski ks. Jan Długosz.

Opowiada on między innemi, że przy oblężeniu Łucka i za Kazimierza Wielkiego, «króla chłopków», używane były działa. To samo twierdzi inny kronikarz z tego wieku, Jan z Czarnkowa. Widział on na własne oczy, jak podczas oblężenia Pyzdr, przez stronnictwo księcia mazowieckiego, Ziemowita, w roku 1383 puszkarz (kanonier) Bartosz Koszecki wystrzałem z działa przebił dwie bramy miejskie i przyprawił o śmierć plebana z Biechowa, który stał na placu miejskim, bitwie się przypatrując.

W wojnie z Krzyżakami roku 1410 mieli Polacy armaty i pod Grunwaldem i po tej bitwie pod Malborkiem. Puszkarz polski tak dobrze wycelował z armaty do filaru w sali zamku malborskiego, że tylko na wysokość dłoni celu chybił. Krzyżacy zemścili się za to i pewnego dnia, wyszedłszy z zamku, kilka dział polskich zagwoździli.

Ponieważ sztuka artyleryjska czyli strzelania z armat dostała się najprzód z Włoch i Francyi do krajów niemieckich, stamtąd do Polski, pierwsi więc artylerzyści, czy jak ich u nas nazywano puszkarze, musieli być w Polsce sami Niemcy

W wieku XVI. cieszyli się puszkarze polscy sławą powszechną. Lanie dział za Zygmunta I. odbywało się

tylko w Krakowie, gdzie król ten pod »Kurzą stopą« przy Wawelu założył ludwisarnię i arsenał Najznakomitszym ludwisarzem był Hans Behom, ten sam, który odlał największy w Polsce dzwon nazwany »Zygmuntem«.

Wiele dział służyło pierwotnie do strzelania kulami kamiennemi. Żelazo bowiem było bardzo drogie wówczas Kule takie ważyły 130 do 140 funtów. Artylerye utrzymywał król własnym kosztem. Później powstały także artylerye miejskie, to znaczy, że każde większe miasto, jak Kraków, Lwów, Poznań i inne utrzymywały własne działa i puszkarzy. Ogólna liczba armat w Polsce rosła coraz bardziej w górę.

W roku 1791 Rzeczpospolita posiadała w swej artyleryi wszystkich dział 129; za czasów Kościuszki już trzy razy tyle. Najznakomitszym jenerałem artyleryi był wówczas poeta i żołnierz Jakób Jasiński.

Walka z alkoholem w starożytności.

Już starożytni pisarze pogańscy i filozofowie, jak Plato, Arystoteles, Plutarch, wskazywali w swoich pismach na niebezpieczeństwo, jakie wynika z nadmiernego używania wina. Szczególnie Plutarch pisze, jak jaki nowożytny znawca w dziedzinie alkoholicznej, bardzo szczegółowo o zwyrodnieniu dzieci nałogowych pijaków.

Za pomocą dotkliwych kar starano się w starożytnych Atenach zwalczać niebezpieczeństwo pijaństwa. Prawodawca Drako groził za opilstwo karą śmierci. Gdyby w dzisiejszych czasach chciano pod tym względem z podobną występować surowością, wtedy każdy naród musiałby posiadać tysiące katów.

Solon wyznaczał na opilców ciężkie kary, szczególnie na urzędników oddanych brzydkiemu nałogowi pijaństwa. Jedno z jego mądrych rozporządzeń, nakazywało stawiać na publicznych ucztach nie czyste wino, lecz rozpuszczone wodą.

Istniało inne jeszcze osobliwe prawo, które nakładało kary na handlarzy, sprzedających czyste wino; musieli za-

tem i oni swój towar mieszać z wodą. Tego rodzaju prawo byłoby wielkiem dobrodziejstwem dla dzisiejszych handlarzy win i restauratorów, którzy i tak w rozmaity sposób fałszują wina.

Przytem godną uwagi jest okoliczność, że prawa Solona bezwarunkowo nie dopuszczały złagodzenia kary dla tych, którzy popełnili jakiś czyn karygodny w stanie nietrzeźwym, a więc niezupełnie świadomie; przeciwnie, Arystoteles uznał później pijanego złoczyńcę za podwójnie winnego, a to najpierw dlatego, że się upił, a powtóre, że popełnił występek.

Innego jeszcze środka odstraszającego chwycił się prawodawca spartański Likurg; chcąc w narodzie swoim obudzić wstręt do opilstwa, pokazywał mu pijanych helotów, to jest niewolników.

Nie zapominajmy wszakże, iż wówczas (w starożytności) wódki jeszcze nie znano. Można więc wyobrazić sobie, jakie to kary nakładanoby na upijających się wódką.

Głos gazet angielskich o Polakach w Ameryce.

Wychodzący w Detroit w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki dziennik angielski *Evening Nové* takie dał niedawno świadectwo tamtejszym Polakom:

Polacy mają pięć szlachetnych rysów charakteru, które ich czynią pożądanymi obywatelami. Pierwszym rysem ich to rzutkość w przemyśle i pracowitość. Przybysze z Polski chwytają się każdej pracy i rzec można, że większość naszych zakładów przemysłowych jest obsługiwana przez Polaków; przynieśli oni naturalną siłę fizyczną, użyteczną w uczciwej pracy. Bez pracy Polaków cały przemysł w Detroit byłby sparaliżowany.

Drugim dodatnim instynktem Polaków, to dążenie do nabycia własnego domku choć niepokaźnego, ale w którym są panami. Przed domem musi być ogródek na kwiaty, a z tyłu ogród warzywny, w którym po przybyciu od ciężkiej pracy fabrycznej chętnie pracują. Kawałek ziemi dla Polaka to najdroższy skarb.

Trzeci rys to niezwykła pobożność Polaków, a czwartym rysem charakteryzującym Polaka to jego przywiązanie i życzliwość dla kraju, który przybrał sobie za drugą ojczyznę. «Nie mając własnego rządu, odarty ze swobód politycznych, z flagi narodowej i gnębiony w swej ojczyźnie przez zaborców, prędko poznaje tutaj dobrodziejstwa wolności i ma szacunek dla sztandaru amerykańskiego, pod którym znalazł schronienie, uchodząc przed despotyzmem zaborców».

Piątym zaś szlachetnym rysem Polaków, to ich postęp w każdej dziedzinie życia publicznego. Polak pracuje ciężko w fabryce, na ulicy czy kolei, lecz dzieci jego idą do szkoły, a następnie z wyższych zakładów naukowych wychodzą z nich lekarze, prawnicy, inżynierowie, księża, mechanicy i t. p.

Kat pruski.

Z każdym dniem mnożą się dowody, że «państwo bojaźni Bożej i dobrych obyczajów» zostające pod berłem cesarza Wilhelma, zamienia się coraz bardziej w kraj barbarzyństwa, dzikości i najgorszych obyczajów.

Zgnilizna moralna szerzy się tam w zastraszający sposób w najwyższych, średnich i w najniższych sferach, a dzikość wkrada się już i do duchownych sfer protestanckich.

Z końcem roku zeszłego zwrócił na siebie uwagę całego świata proces przeciw pastorowi Breitkopfowi, dyrektorowi zakładu poprawczego dla chłopców w Mielżynie.

Z procesu tego wyszło na jaw, że używano tam w całej pełni tortur średniowiecznych do męczenia małoletnich chłopców, prawie dzieci.

Oto przykład jeden z wielu

Młodociany wychowaniec zakładu, niejaki Maute, zawinił wobec pastora tem, że niedość ściśle wykonał jakieś jego zlecenia, za to przywiązano go do słupa, i w tej pozycyi kazano czekać na egzekucyę przez dwie godziny.

Nareszcie zbliżyła się chwila wykonania rozkazu. Pierwsze rózgi spadły na twarz chłopięcia. Żywą strugą trysnęła krew... Wtedy pomocnica pastora, tak zwana «siostra miłosierdzia», otworzyła usta...

Chciała może wyrzec słowo litości w obronie spływającego krwią malca?... Nie to wszakże miała na myśli «siostra miłosierdzia».

— Obmyjcie krew — rzekła — a potem... bijcie od początku...

— Bijcie aż do utraty zmysłów! — dorzucił pastor.

I znów posypały się rózgi na drgające z bólu ciało chłopczyny.

Osłabły siły jednego oprawcy, chwytał rózgę drugi dozorca, potem trzeci... czwarty... Zdarły się rózgi, bito pałkami gumowemi. Te były trwalsze od zwykłej brzeziny...

Wreszcie «sprawiedliwości» stało się zadość. Młody męczennik postradał zmysły... Odwiązano go od inkwizytorskiego słupa. Ułożono omdlałego na chłodnej ziemi... Krwią sączące rany polewano wodą...

Nie wytrzymał jeden ze świadków egzekucyi, stróż kolonii, niejaki Rimszneider.

— Łzy ciurkiem ciekły mi z oczu, gdym odwiązywał od drzewca napół martwe ciało chłopczyny — mówił w sądzie świadek.

A kiedy chłopiec leżał już bez czucia, rozciągnięty na ziemi, jeden z dozorców wymierzył obcasem cios w nagie piersi młodocianego «przestępcy» i zwracając się do pastora, rzekł:

— Dobić zupełnie tego psa!

Po upływie kwadransa 15-letni chłopiec począł przychodzić do siebie. Wówczas posadzono go na taborecie, twarz obmyto z krwi i jak gdyby niedość było kary — rozpoczęto egzekucyę powtórnie...

A jakież zakończenie?

Wtrącono go na 10 dni do lochu ciemnego, aby mógł rozmyślać nad tem, jak srogo ścigane jest w «państwie bojaźni bożej» — przestępstwo... Ażeby zaś chłopcu zbyt wesołe myśli nie przychodziły do głowy, karmiono go tylko chlebem i wodą...

Wreszcie sprawiedliwość dosiągnęła barbarzyńskiego pastora. Za 12-letnie straszne dręczenie chłopców stanął przed sądem — który skazał go zaledwie na 8 miesięcy więzienia. Taka to sprawiedliwość niemiecka!

Rozmaitości.

Nowy wynalazek.

Ks. administrator Sadowski z Wygody i p. Franciszek Leman z Chmielna (w Księstwie Poznańskiem ogłosili nowy wynalazek i podali o patent już w 18-tu państwach; nawet w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, w Kanadzie i Japonii. Wynalazek polega na tem, że wagony kolejowe przy zderzaniu same się spinają.

Rozmaite państwa wyznaczyły premię na praktyczny taki wynalazek, gdyż rok rocznie ginie dużo urzędników kolejowych śmiercią nieszczęśliwą, wchodząc pomiędzy wagony, aby je spiąć i rozpiąć. Wynalazek nowy jest prosty, praktyczny i służy też ku temu, aby z każdej strony wagonu, pociągnąwszy za dźwignię, wagony rozpiąć. Już z jednego państwa nadszedł patent, a przez agentów doniesiono do biura patentowego w Wrocławiu, że jeszcze kilka patentów nadejdzie.

Stosunki w kopalniach amerykańskich.

Z powodu aż nadto częstych katastrof, nawiedzających kopalnie w Stanach Zjednoczonych, polskie pisma wychodzące w Ameryce tak piszą:

„W kopalniach brak najpierwotniejszych środków bezpieczeństwa. Inspektorowie istnieją na to, aby od stanu brać pensyę, a od właścicieli kopalń... łapówki, więc też zamykają oczy na wszelkie brak , panujące w lochach podziemnych. Z drugiej strony prawo tu również jest powolnem narzędziem w rękach kapitalistów, których słabo, albo wcale nie ściga za lekceważenie życia ludzkiego. Wynagrodzenia po zabitych pracownikach w rzadkich

przypadkach są wypłacane, i to w takich sumach, że lepiej je wypłacać, niż łożyć pięć razy więcej na zaprowadzenie ulepszeń w kopalniach.

„W takich warunkach o katastrofy nietrudno i robotnik, idący do pracy, z góry wie, że ryzykuje swoje zdrowie i życie, bez nadziei, że rodzina jego znajdzie opiekę w razie jego śmierci. Pracodawca lekceważy sobie życie tych, którzy krwawą pracą utrzymują go i pomnażają jego bogactwa. Ale ponieważ w kopalniach pracują przeważnie cudzoziemy: Polacy, Słowacy, Węgrzy, Czesi, Włosi i t. p., przeto dorobkiewicze amerykańscy nie dbają o nich, wiedząc, że im tych sił roboczych nigdy nie zabraknie.

„Takie same stosunki panują we fabrykach, kolejach i wszędzie, gdzie tylko dłoń robotnika tworzy skarby dla niewdzięcznych, zbrodniczo niedbałych jednostek“.

Wędrująca wieża.

Dwaj inżynierowie amerykańscy zdołali przy pomocy tylko ośmiu robotników przesunąć wieżę kościoła w Rodolt w Westfalii o 10 metrów dalej.

Czegoś podobnego dokonał — jak piszą stare kroniki — mistrz Aristoteles di Fieravanti w roku 1455 w Bolonii. Przesunął on za pomocą różnych belek i bloków wieżę pewnego kościoła o 25 stóp dalej i ustawił na nowem miejscu. A więc nic nowego pod słońcem.

Ile ważą monarchowie?

Przy drzwiach wejściowych do galowej sali jadalnej królewskiego pałacu w Sandrigham w Londynie od szeregu lat stoi automatyczna waga. Król Edward VII. zrobił sobie rozrywkę z tego, że zapraszał zwykle swych koronowanych gości, by przed wejściem do sali „poddali się do rewizyi wagi swego ciała“. Zazwyczaj wśród wesołych żartów powtarzano następnie ten sam akt po spożyciu obiadu. Król Edward sam osobiście wciągał pozycye cyfrowe do książki noszącej szumny tytuł: „Złota księga wagi monarchów“. Każda liczba opatrywana była

nadto własnoręcznym podpisem ważonego „dla wiarogodności faktu“.

Daily Mail podaje obecnie kilka cyfr z tej księgi. Waga cesarza niemieckiego Wilhelma II. waha się między 78 a 81 kilogramami Obecny król angielski Jerzy V., podowczas książę Walii ważył 83 kilogramy: największą wagę miał sam gospodarz domu, król Edward, bo 104 ważył kilogramów. Bezpośrednio po nim „najcięższym“ z koronowanych gości był król bułgarski Ferdynand, (89 i pół kilograma) „najlżejszym“ car rosyjski Mikołaj II. 51 kilogramów. Zanotowaną jest także waga cesarza Franciszka Józefa, który przed 15-tu laty był w zamku Sandrigham; ważył wtedy nasz Monarcha przeszło 76 kilogr.

Flaszki z papieru.

W Ameryce rozpoczęto fabrykacyę flaszek z papieru, których używają już do przewozu i przechowywania mleka. Nawet mleko ogrzane do 100 stopni daje się w nich utrzymać. Waga tych flaszek jest 12 razy lżejszą od flaszek szklanych, a w czasie przewozu nie ulegają stłuczeniu lub pęknięciu.

Z Kalwaryi Zebrzydowskiej. (Przestroga). Donoszą nam z różnych okolic kraju, iż po domach katolickich chodzą oszuści i wyłudzają grosz ciężko zapracowany od ludu, nibyto na restauracyę Grobu Matki Bożej na nadchodzący jubileusz.

Oświadczam wyraźnie, że klasztor kalwaryjski nikogo na kwestę w tym celu nie wyseła, a kto chce coś ofiarować dobrowolnie, niech prześle pocztą na przekaz do podpisanego: *Ks. Stefan Podworski*, rezydent przy kościele Grobu Matki Bożej **w Kalwaryi Zebrzydowskiej** (Galicya).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Sokrates, filozof grecki, zapytany: „Czyliby filozof pierniki jadł?“ „Czemu nie — odrzekł — alboż to pszczoły dla samych tylko głupców miód robią?“

Poczciwy. Wierzyciel (z rezygnacyą): Zgłaszać się będę co tydzień do pana po moją należytość dopóty, dopóki jej nie dostanę.

Dłużnik (uprzejmie): W takim razie, mój panie, jest możliwość, że nasza znajomość zamieni się w serdeczną przyjaźń.

* * *

— Matka: Żebyś to tak dzielnie się uczył, jak dzielnie zajadasz.

— Syn: W jedzeniu ćwiczę się od urodzenia, a uczę się dopiero trzy lata.

W szkole ludowej. — Nauczyciel: Antek utwórz mi jakie zdanie.

— Uczeń: Koń ciągnie wóz.

— Nauczyciel — dobrze! A teraz zmień mi to zdanie w ten sposób, aby czasownik miał tryb rozkazujący.

— Uczeń: Wio hejta!

Brzydki obyczaj. — Dama: Proszę pana mormoni w Ameryce mają po kilka żon. Co pan sądzisz? Mnie się zdaje, że to brzydki obyczaj...

— Pan: Zapewne, że brzydki, bo człowiek mało ma nadziei, żeby kiedy został wdowcem.